



33. ŁÓDZKI PRZEGLĄD TEATRÓW AMATORSKICH — ŁÓPTA 2020 — EDYCJA ONLINE

DZIEŃ 1 10.10.2020 R.

Słowem wstępu

*Witamy na 33 Łópcie, która śmiało wkracza w świat onlineowej przyszłości!
Po raz pierwszy odkąd pamiętam, sale w Łódzkim Domu Kultury, nie spłyną potem
młodych, ambitnych aktorów.*

*Wasze głosy płynące ze sceny i podekscytowany szum rozmów nie wypełnią sali 323, ani
kolumnowej, ani 221. Krzesła w tych salach stoją puste, boleśnie niezasiedziałe i czekają
cierpliwie na lepsze jutro. Ale ŁDK pulsuje organizacyjnym tętnem. Asia i Gabrysia
wywalczyły nam przegląd i cały czas walczą, wspierane przez zespół techników, aby
wizytowi w całej Polsce (!) mogli obejrzeć Wasze spektakle.*

*O dziwo, ilość spektakli zgłoszona w tym roku zagospodarowałaby cztery dni klasycznej,
stacjonarnej Łópty. Technikalnia Was nie przestraszyły i stawiliście się tłumnie, aczkolwiek
wirtualnie. Daje to bardzo dużą nadzieję na lepsze jutro, ale także na rozwój tego przeglądu.
Kto wie jakie drzwi się właśnie otworzyły? Jeśli pandemia nauczyła nas wszystkich czegoś,
to właśnie możliwości, jakie daje internet.*

*Paradoksalnie, kontakty międzyludzkie mają się świetnie wspierać przez komunikatory
internetowe i video chaty. Puryści będą dzwonić na alarm - przecież to bezpośredni kontakt
aktora z widzem jest wielką siłą teatru. Nie będę zaprzeczał. Nie będę też zamykał się na
nowe możliwości. Mam zamiar bawić się na tegorocznej Łópcie świetnie.*

PIOTR MASZOREK

NASZA REDAKCJA



Agnieszka Kowalczyk

Od dwudziestu lat działa aktorsko i reżysersko amatorsko i zawodowo na deskach teatrów. Począwszy od amatorskiego Teatru pod LUPĄ, poprzez musical Skrzypka na dachu w Teatrze Muzycznym w Łodzi, reżyserię kilku spektakli w tym własnego monodramu, aż do stworzenia teatru dla mieszkańców w Bieszczadach i wyreżyserowaniu spektaklu "Bieszczadzkie Szalone Nożyczki". Odkrycie tam nowej pasji i pomysłu na życie czyli fryzjerstwo, ukończyła takowy kurs i ma zamiar wrócić w Bieszczady, by tworzyć nowe spektakle i fryzury.



Piotr Maszorek

Wielbiciel i niewolnik bigli, montażysta w korpo tym samym co Kuba, kiedyś dawno temu aktor teatru dziecięcego, jeszcze dawniej reżyser i założyciel Teatru California. Ostatni spektakl Californi powstał przez dwa lata i nie został ukończony. Maszorek do dziś ma traumę z tego powodu i unika robienia teatru. Zamiast tego marzy, aby odwiedzić Agnieszkę w jej zakładzie fryzjerskim



Remigiusz Pilarczyk

Remigiusz Pilarczyk - Od 17 lat związany z teatrem. Związany miłością trudną i bolesną. Od 8 lat związany z nim również zawodowo. Aktor, a jak trzeba, to reżyser. Uczestnik kilku edycji Łópty, widz większej liczby edycji, a od kilku lat członek gazety festiwalowej. Kiedy nie znajduje się akurat w teatrze, to prawdopodobnie gra na konsoli, albo wraz z Kamilem, wzmacnia wolę i mięśnie na siłowni, zastanawiając się jak przeżyć, pracując w kulturze.

Łukasz Przywara

Związany z teatrem amatorskim od 11 lat. Grywał z wieloma reżyserami i brał udział w wielu, czasem dziwnych projektach. Zawodowo jednak wybrał inną drogę i teraz po pracy łapie się wszystkiego, co pomoże mu, choć na chwilę amatorsko poudzielać się na scenie bądź przed kamerą. Poza tym jest już stary i rzędliwy.



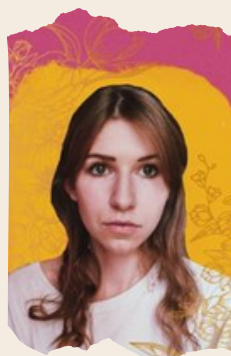
Jakub Lisiak

Były aktor teatru California. Obecnie montażysta w korpo i w wolnych chwilach na YouTube. A tych mało, gdyż czas po pracy spędza na zabawach z rocznym synem.



Nikodem Księżak

Student IV roku Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie. Zdobywca nagrody aktorskiej na Łópcie za rolę młodego Biffa w przedstawieniu "Baranek" Teatru California (reżyseria: Piotr Maszorek). Przez wiele lat członek Teatru California. Obecnie (kolejny już raz) recenzent pracujący dla Łóptaka.



Pola Lepakhina

Była aktorka teatru California. Z Łóptą związana od 2012 roku. Początkowo jako uczestnik, a później również jako recenzentka. Aktualnie pracuje jako grafik, ale nie w tym samym korpo co Kuba i Maszorek. W wolnych chwilach tworzy kolaże i maluje ściany. Z czasów aktywności aktorskiej za najbardziej traumatyczne przeżycia uważa premiery i krzyki Maszorka: "Czemu nie znacie tekstu?".



Kamil Bończyk

Aktor, tancerz, choreograf. Przygodę z teatrem rozpoczął w wieku piętnastu lat. Absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie, na wydziale Teatru Tańca w Bytomiu. Po skończeniu studiów współpracował z teatrami w Łodzi, Bytomiu, Tychach i Katowicach. Pedagog na Wydziale Sztuk Sceniczných Akademii Muzycznej w Łodzi. W wolnych chwilach wzmacnia mięśnie i wolę na siłowni i zastanawia się, jak przeżyć pracując w kulturze.



Wiktor Siewierska

Od czterech lat czuje zamyślenie do języka polskiego, pisanie i czytanie. Spędza czas wolny z książką w rękę, nie ma dnia, kiedy nic nie stworzy. Píše dużo, począwszy od opowiadań, kończąc na poezji, która jest częścią jej życia. To ona ją definiuje. Lubuje się w słowach z głębokim przesłaniem. W ten sposób ukazuje swoje prawdziwe „ja” i nie ma zamiaru zerwać przyjaźni z tworzeniem.

Teatr YETA	
[poza konkursem]	str. 4
„Życie na krawędzi” Łódź	
Teatr Wyjście Ewakuacyjne	str. 5
„Cisza. Sen trwa” Piotrków Trybunalski	
Teatr EXPOART	str. 6
„Bezsennik” Piaseczno	
Studio aktorskie STA	str. 7
„Zjazd” Poznań	
Teatr SPLOT	str. 8
„Dolina 64” Głusków	
Drama Club	str. 10
„Wigilia u Boryny” Łódź	
Katarzyna Linke	str. 12
„Dziewięć sekwencji z życia matki” Częstochowa	
Teatr PaniKa [poza konkursem]	str. 14
„Nieszczęśnik Paprotnik” Piaseczno	
Studio aktorskie STA [poza konkursem]	str. 15
„Morderstwo w Express Intercity” Poznań	

Biel i czern wśród nas

O życiu bez egzystencji, o zakładaniu masek, pod którymi kryją się prawdziwe uczucia, o ucieczce przed samym sobą, przed swoimi własnymi myślami. To wszystko w jednym spektaklu „Życie na krawędzi” przedstawione przez Teatr Yeta w reż. Adama Wrzesińskiego.

Można dostrzec pewne nawiązanie spektaklu do dzisiejszej sytuacji na świecie. Pandemia sprawiła, że wiele osób pozamykało się w sobie, przestało mówić o swoich emocjach. Oprócz tego jest poruszany temat depresji, która często nie jest przez nas dostrzegana.

Spektakl, w niektórych momentach ma przybliżenie, w innych oddalenie. Często jest ukazana twarz z bliska i to, jakie miny mają aktorzy w danej scenie. Artyści przemieszczają się. Raz są w domu, a raz wychodzą na powietrze. Ale czy można opisać scenografię w takich warunkach, może warto to odsunąć na dalszy plan?

Wygląd aktorów, kostiumy i makijaże, czyli mówiąc krótko charakteryzacja, bardzo mi się spodobały. Zwłaszcza pomalowane twarze w biało- czarnych kolorach. Uważam, że miało to na celu pokazanie, jakie jest życie, a jakie mogłoby być. Czemu postrzegamy wszystko w szarych barwach?

Według mnie nie można jednoznacznie określić, czy twarze to ci sami ludzie, którzy przeżywają emocje. Na samym początku jest ciekawość, naiwność, zazdrość i podejrzliwość. Później pojawia się nadzieja i beznadzieja. Pustka i depresja. Tęsknota i nostalgia. Podmiot pożądania, który próbuje przekonać o tym, że nie ma ograniczeń, że powinno się wiedzieć, czego się chce od życia myśleć o swoich pragnieniach. A później trochę z innej beczki, zamiast tych twarzy zjawiają się zwykli ludzie. Nat pięknie mówi do swojej koleżanki. Można wywnioskować, że to impreza, spotkanie towarzyskie. W pewnym momencie kobieta żali się, a ta druga się nieco oburza. Nat (Natalia Dobrowolska) wtedy odpowiada:

Ja tylko mówię, że po prostu mi za nim tęskno. To nie jest szukanie dziury w całym. To jest mówienie o swoich emocjach, o tym, co się czuje, a właśnie to czuję! Tęsknotę.. ”

Ten fragment dużo może nam dać. Pokazać, że warto, a nawet trzeba mówić, o tym, co się czuje. Jej koleżanka, do której to kierowała, nie знаła znaczenia tych słów. Ona wolała wszystko przemilczeć i przeboleć. Życ w wyimaginowanej relacji, w której tak naprawdę się dusiła.

Nadzieja z radością opowiadała o życiu, o podróżowaniu do swojego przeciwieństwa, czyli beznadziei. Kompletnie nie potrafiła poczuć tego entuzjazmu, szczęścia z drobnych chwil. Albo kiedy depresja odzywa się do Manii, a właściwie wypomina, że mieli zacząć coś nowego. Zmienić swoje życie.

Nie mam ulubionej postaci, ponieważ wszystkie pokazują ważne aspekty życia. Nat (Natalia Dobrowolska) daje nam lekcję życia, by mówić o swoich potrzebach i uczuciach. Julka (Julia Szydłowska) szuka pozytywnych rzeczy i uwalnia się od relacji, potrafi mówić o swoich przemyśleniach. Olek (Aleksander Kowalski) żył nadzieją na lepsze jutro, a Misza (Mykhalio Voskobinik) podążał cały czas z samym sobą. Próbował odnaleźć siebie. Jedno spostrzeżenie, które można dostrzec to to, że w napisach końcowych jest napisane, że zbieżność imion jest przypadkowa. Ale czy na pewno? Można, by tu doszukiwać się, czy postać specjalnie nie została wykreowana na podstawie aktora. Spektakl uważam za udany i z dobrym przesłaniem do ludzi. Na pewno będę wracać do tego przedstawienia, kiedy pomyślę, że na świecie nie ma kolorów.

Wiktoria Siewierska

Ocena: 4/5



kliknij, by obejrzeć spektakl

Dzikie historie

Teatr Wyjście Ewakuacyjne z Piotrkowa Trybunalskiego zaprezentował spektakl „Cisza. Sen trwa”. Opowiada on o trzech, zupełnie różnych historiach. Studenci z Uniwersytetu Jana Kochanowskiego, jak sami piszą, tworzą teatr w ucieczce przed marazmem i brakiem interesujących zajęć. A taka wiadomość bardzo cieszy, tym bardziej że na scenie było aż 14 osób!

Muszę przyznać szczerze, że dla mnie spektakl tak naprawdę zaczął się od trzeciej historii. W pierwszej - o wypadku - było strasznie dużo chaosu. Chaosu, który ostatecznie do niczego nie doprowadził. A w szczególności scena, w której ratownicy medyczni sklejali kończyny dzieci taśmą klejącą.

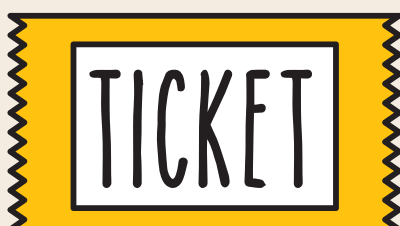
Po drugiej historii bałem się, że będzie już tylko gorzej. Przedstawienie o stole, który chciał reżyserować, a nie mógł, no bo „jest tylko stołem”, było bardzo nietrafione. W ogóle nie łączyło się to z pierwszą historią, a tym bardziej trzecią. Widziałem po aktorach, że też nie do końca czuli tę opowieść. Często wchodzili sobie w słowo, żeby jak najszybciej wypowiedzieć kwestię. Mocno ściśnięci, potykali się o siebie i ten nieszczęsny stół, który nigdy nie zostanie reżyserem.

I w końcu przechodzimy do trzeciej historii. Tytułowej historii. „Cisza. Sen trwa”. Historii, która według mnie, powinna być jedyną w tym spektaklu. Mamy głównego bohatera, kilka postaci drugoplanowych, no i wspaniale przedstawionego antagonistę (choć jak się później okazuje - nie taki zły bohater, jak go malują) - Marsjanina. Główny bohater przeżywa historię do złudzenia przypominającą tę, z filmu Thruham Show. Tylko, że w spektaklu ludzie nie obserwują jego codziennego życia, lecz sny. Wszystko zaczęło się od bliskiego spotkania pierwszego stopnia z książkami i panią z księgarni, a skończyło na bliskim spotkaniu trzeciego stopnia z Marsjaninem we śnie. Bohater ratuje w nim panią z księgarni przed przybysem z kosmosu. Jego sen widzieli wszyscy mieszkańcy i teraz chcą za wszelką cenę pojawić się w następnych snach, żeby też zaznać trochę sławy, jak pani z księgarni. W trzeciej odsłonie spektaklu pojawia się kilka fajnych zabiegów reżyserskich. Bardzo podobały mi się sekwencje snów oraz przedstawienie Marsjanina. W końcu mogłem bliżej poznać bohaterów i każdego choć trochę zrozumieć. Zarówno jeżeli chodzi o tekst, jak i cel i emocje, które próbowali przekazać. Pomimo kilku niedociągnięć czy pomyłek aktorów, uważam, że ta trzecia odsłona była najlepszą częścią przedstawienia.

Jeżeli Teatr z Piotrkowa, kiedyś wpadnie na pomysł, żeby robić spektakl, w którym są trzy różne historie, to niech wywalą pierwsze dwie i zrobią tylko trzecią. Bo przysłowie „do trzech razy sztuka”, sprawdza się idealnie w przypadku przedstawienia „Cisza. Sen trwa”.

Jakub Lisiak

Ocena: 3/5



kliknij, by obejrzeć spektakl

A co znaczy Twój sen?

Spektakl „Bezsennaść” teatru EXPOART to istne widowisko teatralne przybierające formę plastycznego show, opartego na wizualnych efektach.

Jest to kilka następujących po sobie scen, a właściwie krótkich i prostych „scenek”, powiązanych ze sobą postacią Snu (w tej roli Kacper Słowik), który pełniąc rolę bóstwa, staje się sprawcą całej magii dziejącej się na scenie.

Czy sen może być czymś niebezpiecznym? Otóż dla twórców okazuje się, że jak najbardziej. Jest to przestrzeń, która po zamknięciu oczu generuje najrozmaitsze lęki, które trawiąc ich, jednocześnie zaszczepiają niemożliwe do zrealizowania marzenia o bezsennaści. Sceny z ich własnych snów i najróżniejszych sennych przeżyć pozwalają skonfrontować się z własnym strachem poprzez podjęcie walki z nim.

Tu pojawia się pytanie - kto w tym starciu jest zwycięzcą? W tym momencie możemy zaobserwować pewne komplikacje, bowiem wszyscy bohaterowie komunikują wspólny problem OGRANICZENIA: przez media społecznościowe; czas; bliżej nieokreśloną siłę, która nie pozwala im wyrwać się z miejsca; panujące kanony piękna itd. Nie są to jednak ograniczenia, na które można by patrzeć wnikliwiej z uwagi na bardzo uproszczony i ograniczony sposób ich scenicznej realizacji.

Wszystkie „scenki” funkcjonują jako krótkie ruchome obrazki, które jedynie informują o problemie, tak jakby wszyscy skupili się jedynie na tym jak go pokazać w efektowny sposób. Postaci są ofiarami, które nawet podejmując walkę są skazane na swój los - MUSZĄ PRZEGRAC! Z jednej strony podkreśla to rolę sennego fatum, z drugiej jednak sprawia wrażenie, że bohaterowie nie są zdeterminowani, wydaje się, jakby ich działania nie mogły odnieść żadnego skutku - poddali się.

W wyniku tego jako widz miałem problem, aby za nimi podążać czy wspierać ich w walce. Ciężko więc czuć jakąkolwiek satysfakcję z takiego rodzaju konfrontacji.

Dziewczyna z telefonem zostaje nawiedzona przez cztery nieznane postaci symbolizujące niebezpieczeństwa czyhające w sieci. Odziane są w długie szaty, każda w innym kolorze. Otaczają bohaterkę, kręcąc się wokół niej i tańcząc. Aktorzy, animując długie szaty podczas tańca, przypominają choreografie niektórych dzieł Louie Fuller.

Scena dziewczyny stojącej się lalką, pozwala, by bohaterka osiągnęła poziom ideału. Te rozważania między uprzedmiotowieniem a człowieczeństwem przywodzą na myśl „Bał Manekinów” autorstwa Brunona Jasieńskiego.

Jest także biegnący bohater, którego bieg przedstawiony jest w formie teatru cieni, śpieszący się bohater walczący z tarczami zegarowymi, a także dziewczyna, która unosi się ponad wszystkim, co sugeruje wyświetlana projekcja.

Nie brakuje więc ciekawych odniesień i inspiracji, a całość oprawy wizualnej naprawdę robi wrażenie. Stwarza także iluzję prawdziwego nieco surrealistycznego snu, który dotyka swoistym niepokojem. Doceniam fakt wyzbycia się słowa i przeniesienia uwagi na inne formy wyrazu, co stworzyło dla zespołu nowe możliwości podejścia do obranego tematu.

Jednocześnie twórcy wykorzystują interdyscyplinarny rodzaj teatru, który między innymi ukazuje ich rozbudowaną wyobraźnię i kreuje oryginalną przestrzeń poprzez plastyczne i ruchowe rozwiązania, a także świetnie dobraną muzykę.

Kamil Bończyk

Ocena: 4/5



kliknij, by obejrzeć spektakl

ZJAZD DZIWNYCH ZWROTÓW AKCJI

Na początek warto dodać, że spektakl, był dyplomem studia aktorskiego, z premierą prawie rok temu. I na pierwszy rzut oka ten spektakl miał wszystko. Scenariusz z problemami na czasie, świetnie wizualnie wyglądającą scenę, różnorodnych bohaterów, intrygujący początek i świetną realizację nagrania (ciekawostka: w obecnych czasach, gdy wiele grup decyduje się nagrania, nie wiele zrobiło to tak dobrze i tak idealnie wpisując się w tematykę spektaklu jak w tym przypadku)! Powiem więcej, na początku spektaklu przez dłuższą chwilę zastanawiałem się, dlaczego profesjonalna grupa znalazła się na przeglądzie teatrów amatorskich!

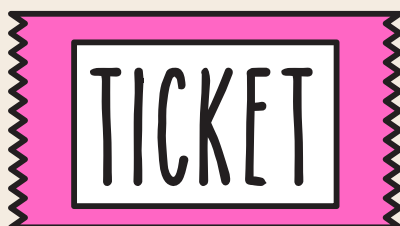
Mimo to – im dłużej oglądałem spektakl i im więcej nad nim rozmyślałem, tym więcej rzeczy, które mnie drażniły, zauważyłem. Od drobnych, jak prywatne śmiechy aktorów gdzieś z boku (gdy myśleli, że widz ich nie obserwuje – jednak na nagraniu nic się nie ukryje), przez brak stopniowania emocji bohaterów, którzy potrafili przez długi czas z takim samym natężeniem krzyczeć w zdenerwowaniu (i to nie raz), zdarzający się ruch sceniczny aktorów bez intencji (idę tam stanąć, bo muszę tam zaraz stać), aż do scenariusza, który wciska na siłę zwrot akcji jeden za drugim.

I może się zbytnio czepiam, bo chcę znaleźć coś, co można poprawić. A scenariusz, z którego korzystaliście, był przecież w całości przygotowany przez Jakuba Kaprała, więc pewnie nie mieliście wpływu na to jak jest napisany. Jednak wydaje mi się, że mieliście wpływ na to jak chcecie go zagrać. Bo nie wiem, czy to wina scenariusza, czy pomysłu na niego, ale wiele z końcowych zwrotów akcji, nie wynikało z niczego i miało chyba w zamyśle tylko zaskoczyć widza. I tak jak za pierwszym razem rzeczywiście byłem zdziwiony, tak za każdym następnym - odczułem już tylko znużenie. Chyba nie tak powinna działać czarna komedia.

Po obejrzeniu całości zastanawiałem się, co ten spektakl miał przekazać. Oczywiście w trakcie pojawiają się słowa o braku tolerancji w stosunku do imigrantów, braku szacunku do kobiet w społeczeństwie Polskim, ale są one wyłożone w łopatologiczny sposób i są powtarzane po kilka razy. Odniosłem wrażenie, że, przepraszam za wyrażenie, traktujecie widza jak pewna stacja telewizyjna swoich odbiorców: trzeba prosto z mostu powiedzieć kto i co jest „be”, najlepiej po kilka razy, wtedy na pewno zrozumieją. Ale wróćmy do bardziej pozytywnych elementów. Gra aktorska, mimo wspomnianych wyżej mankamentów, była czasem na naprawdę wysokim poziomie. Muszę tutaj wyróżnić rolę „męskiego” Hitlera, który momentami sprawiał, że czułem, że oglądam właśnie teatr zawodowy. Scena ze śpiewającym Elvisem – palce lizać! W aktorach widać potencjał, który niestety czasem był niewykorzystany. Albo dziwnie ukierunkowany. A szkoda, bo był widać, że sprawia Wam frajdę to co robicie. Jak to mawiał pewien znany reżyser „momenty były”.

Na koniec ocena. Z racji, że mamy do wyrobu pięciostopniową skalę, umiejscowiłbym ten spektakl dokładnie w połowie, bo miał swoje słabe i mocne strony. Ale ze względu na świetną realizację nagrania, zasługuję na wyższą ocenę. Dlatego:

Łukasz Przywara
Ocena: 3,5/5



kliknij, by obejrzeć spektakl

Warto mówić, warto słuchać.

Nic się nie stało! Hej ludzie, nic się nie stało. A może jednak się stało? Dzieje i będzie dziać, jeżeli tego nie przerwiemy? Jeżeli nadal będziemy beztrząsco wierzyć w to, że jesteśmy władcami tego Świata, to być może doprowadzimy do jego upadku? Teatr SPLOT ukazuje dystopijną wizję przyszłości. Nic nie jest takie samo jak dzisiaj. Na naszą planetę spadły dwie katastrofy: klimatyczna i epidemiologiczna. W obliczu tych tragedii doszło do katastrofy społecznej. Doszło również do tajemniczej wojny, której echa rozbrzmiewają w monologach. No ogólnie, to nie jest zbyt wesoło.

Bohaterowie spektaklu, to grupa pozbawionych domów Nomadów, żyjących na pustyni, a śnieg znających jedynie z opowieści. Urodzonych w okolicach roku 2050. Ich życie stało się koszmarem, przerywanym jedynie przez marzenia senne. W pewnym momencie postanawiają się zbuntować przeciwko totalitaryzmowi, który jest symbolizowany przez miasto i jego władze. W przeciwieństwie do swojego przeciwnika, nie mają armii, ani broni. Mają jednak coś innego. Marzenia, wolność słowa, nadzieję i sztukę.

W moim pojmowaniu teatru, jego rolą jest zadawanie pytań, wywoływanie dyskusji. Tak też jest w tym przypadku. Młodzi Twórcy głośno mówią o tym co myślą, co czują, czego się boją. Spektakl przypomina nam o tym co mamy, a co możemy utracić, przez naszą nierozwagę. Często nie doceniamy pewnych spraw, postrzegamy je za oczywiste, należne nam. Dopiero gdy je utracimy, odczuwamy ich brak. Prawem młodości jest wyrażanie niezgody, głośne mówienie o tym, że to oni będą żyć w tej przyszłości zgotowanej przez dzisiejszych dorosłych. Mają prawo do wyrażania obaw o kształt Świata, w którym przyjdzie im żyć.

W spektaklu przeplatają się sekwencje ruchowe i partnerowania, a także krótkie monologi, sceny oparte na śpiewie. Choreografie są energetyczne, dynamiczne. W swoim charakterze, w pewien sposób nasuwają mi skojarzenia z twórczością bytomskiego teatru Rozbark, co jest oczywiście komplementem. Jest to w dużej mierze zasługą reżysera i choreografa spektaklu Michała Miszy Czornego. Twórcy zrezygnowali ze scenografii, a pusta scena, którą wypełniali jedynie aktorzy, potęgowała uczucie pustynnej pustki. Podobnie, jak utrzymane w odcieniach beżu i szarości kostiumy. W doskonały sposób pokazuje to, że czasami nie potrzeba wiele, by uzyskać zamierzony efekt.

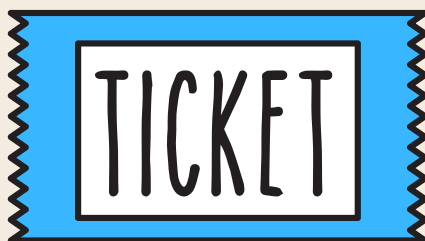
Teraz pora na łyżkę dziegciu... Twórcy spektaklu dość powierzchownie wspominają o swoich obawach, a przypadku "Neverending COVID" nonszalancko. To nie pomaga, nie prowokuje do poważnej rozmowy. Przedstawiają potencjalną wizję przyszłości, ale nie precyzują z czego ona wyniknie. Enigmatycznie mówią o wojnie, czy kryzysie klimatycznym. Ta wizja Świata jest oparta na ledwie kilku słowach. Nie mówię, że koniecznie trzeba budować całe uniwersum i historię (choćby byłoby ciekawie), ale w obliczu braku czasu, można zbudować Świat przedstawiony w oparciu o pewną tajemnicę. Samo to, już by prowokowało pytania. Co się stało, dlaczego? I to byłby dobry punkt wyjścia do rozmowy. Tymczasem otrzymałem informację o wojnie, która była. Po prostu się zdarzyła i tyle. Kolejną sprawą jest to, że nie wystarczy tylko powiedzieć o tym, czego się boimy. Pewne rzeczy są uniwersalne, moi rówieśnicy wyrażali podobne obawy. Powstało multum spektakli na ten temat.

Myślę, że spektakl miałby znacznie silniejszy przekaz, gdyby twórcy, poza tezą dotyczącą przyszłości, przedstawili jakieś remedium. Rolą teatru nie jest jedynie zadawanie pytań. Rozmawiajcie z nami, widzami, właśnie za pomocą sztuki.

Aczkolwiek, żeby być sprawiedliwym, to jak rozumiem, powstał w JEDYNIE 6 DNI! To bardzo mało czasu. Ciężko pogłębić myśli w tak krótkim czasie i szanuję pracę i wysiłek włożone w przygotowanie spektaklu. Jednak pamiętajcie, że widz nie zna kontekstu powstawania spektaklu i jeżeli coś mu pokazujemy, znaczy, że uznajemy to za gotowe do pokazania. Ze względu na krótki czas pracy nad spektaklem, czasami choreografie były nierówne, a w partnerowaniach brakowało czystości ruchu i precyzji, czy intencji. Podobnie ze słowem, krótkie monologi były w większości po prostu wykrzyczane. W scenie dialogowej zdecydowanie brakowało uważności na partnerów, słuchania, intencji. Jednak jestem przekonany, że gdyby tylko Twórcy mieli więcej czasu, na pewno by to dopracowali.

Remigiusz Pilarczyk

Ocena: 3 - /5



kliknij, by obejrzeć spektakl

Gruba biba w szkolnej auli

Spektakl grupy teatralnej Drama Club o niewinnym tytule "Wigilia u Boryny", to smaczne i wesołe widowisko z pogranicza szkolnego przedstawienia i kabaretu.

Grupa wzięła się za temat wałkowany już wiele razy, albowiem mowa jest o istocie Świąt Bożego Narodzenia.

Oto znajdujemy się w posiadłości - jak zapewniają nas bohaterowie - wspaniałego i najbardziej znamienitego członka ich społeczności - wspomnianego Macieja Boryny. W świąteczny nastrój wprawia muzyka grana na żywo, wzbogacona o piękne wokale aktorek. Jak to w święta panuje zamieszanie, jednak wszyscy zdają się być w błogich nastrojach. Pod gospodę Macieja przybywają kolędnicy, których jak chrześcijański obowiązek nakazuje, Dominikowa zaprasza na wspólną wieczerzę. Niebawem wychodzi na jaw, że wśród licznie zebranych biesiadników znajduje się - UWAGA - Woland. Tak, tak. Woland u Boryny. Czort nieco panoszy się po nie swoich włościach, zapraszając do stołu same gwiazdy z literatury. Nie da się ukryć, że fakt ten nie raduje Boryny, biedny stara się znosić te niegodziwości ze spokojem, tak długo jak mu nerwy na to pozwalają. Wśród celebrytów z książkowego Hollywood znajdują się goście tacy jak Parys i Helena, Zbyszko i Danusia, Rycerz Roland ze swą damą, Hamlet z Ofelią, Romeo i Julia, Kordian i Konrad i kilku innych. Jak nietrudno się domyślić, takie grono wróży kłopoty. Nad tym, by atmosfera była gorąca i kłótniwa czuwa dzielnie Woland i jego świta.

Tegoroczna Łópta ma nietypowy charakter, bo onlinowy. Spektakle nadesłane przez uczestników mają różne formy. Niektóre są rejestracją sceny, inne korzystają z magii montażu. Spektakl Drama Club, to rejestracja zagranego spektaklu przy udziale widzów. To w jakiś sposób pozwala zamazać ten wirtualny charakter, albowiem oglądając mam wrażenie pewnej nażywości, kluczowej dla teatru. Aktorzy zagrali spektakl przed publicznością i kamerą, także nie ma tu miejsca na ewentualne poprawki.

Scena zaaranżowana - zdaje się, że w szkolnej auli, nie jest najwdzięczniejszym miejscem, brakuje gry świateł, brakuje kulis, przeszkadzają mikrofony, które aktorzy muszą sobie przekazywać. Jednak nie są temu winni sami aktorzy - zdają sobie z tego sprawę. Pragną tylko zaznaczyć, że chciałabym zobaczyć to widowisko w przestrzeni dedykowanej do takich aktywności.

Wielki "szacun" dla Heleny Sej - reżyserki za ogarnięcie ekipy blisko 40 osób. Uważnie obserwowałam co dzieje się na drugim planie, gdy na pierwszy wychodzili kolejni aktorzy. Muszę przyznać, że wszyscy grzecznie siedzieli w rolach, niezależnie od tego, czy było to ich 5 minut, czy kolegów. Poziom gdy aktorskiej jest dość zróżnicowany, również styl kreowania postaci nieco się rozmył. Miałam wrażenie, że część aktorów z powagą weszła w swoje role, tworząc przekonujące kreacje, a część potraktowała swoje wcielenia jako karykaturę, przerysowując znacznie charakter postaci. Przez tę niespójność właśnie, spektakl odbieram jako patchworkowy produkt - trochę kabaret, trochę przedstawienie, trochę spektakl teatralny. Pewnie nie bez znaczenia, te konotacje nasuwa, wspomniana wcześniej niewdzięczna przestrzeń.

Wśród aktorów, moją szczególną uwagę zwrócili Kacper Rybiński grający głównego bohatera, a także - mimo że rola raczej krótka - Maria Szymczyk, grająca Konrada.

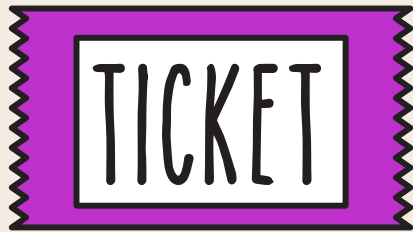
Drama Club w swoim spektaklu nie zadaje trudnych pytań i nie szuka na nie skomplikowanych odpowiedzi. Ot, przypomina w lekki sposób, byśmy byli mili dla siebie, nawet gdy to trudne, bo wiele nas różni. I to ładne przypomnienie!

Na nagraniu widać, że publiczności spektakl się podobał. Gromkie brawa uważam za uzasadnione. Ja również dobrze się bawiłam, wszak sztuka ma nas również bawić, a nie tylko męczyć trudnymi sprawami, o których warto byłoby pomyśleć. Człowiek zmęczony niczego mądrego nie wymyśli.

Dlatego świetnie, że zapewniacie niewymagającą rozrywkę. Z chęcią zobaczyłabym jakąś farsę lub kabaret w Waszym wykonaniu, bo wyczuwam potencjał komediowy.

Pola Lepakhina

Ocena: 4-/5



kliknij, by obejrzeć spektakl

Gdzie jest bombshells? Gdzie jest reżyser?

Spektakl „Dziewięć sekwencji z życia matki” w reżyserii Marka Ślosarskiego, w wykonaniu Katarzyny Linke z muzyką Piotra Całusa i Macieja Korzeniewskiego, obejrzałam jako: matka, kobieta, widz, aktorka i reżyserka.

Monodram został stworzony na podstawie sztuki australijskiej dramatopisarki Joanny Murray-Smith, pod tytułem „Bombshells”. Sztuka składa się z sześciu monologów, ukazujących sześć kobiet w różnym wieku, od nastolatki do sześćdziesięcioletniej wdowy, które opowiadają o własnym życiu. Sztuka ta, pierwszy raz została wystawiona w 2001 roku w Australii.

Przenieśmy się jednak do Polski. Na spektakl „Dziewięć sekwencji z życia matki”. W materiale zgłoszeniowym na Łóptę przeczytałam, iż jest to monodram o różnych kolorach macierzyństwa, trwa trzydzieści cztery minuty, miał swoją premierę całkiem niedawno, bo 19 września 2020 roku w Częstochowie, teatr nie ma nazwy. Na pytanie w formularzu zgłoszeniowym: dlaczego zajmujecie się teatrem, twórcy odpowiedzieli: żeby przeżyć.

Napisano również, że spektakl powstał na podstawie fragmentu utworu Joanny Murray-Smith „Bombshells” w tłumaczeniu Elżbiety Woźniak. Niby niewielki błąd w tytule, nieznaczący, zwykła literówka, zdarza się. Zamiast Bombshells, jest Bomshells, czy to ma znaczenie? Ma. W teatrze wszystko ma znaczenie.

Bombshells oznacza: sensacyjne wiadomości, gorący temat, niespodziankę

Bomshells nic nie znaczy. W związku z tym mamy „Dziewięć sekwencji z życia matki”. Dlaczego dziewięć? I po co?

Na scenę wchodzi kobieta, prawdopodobnie do pokoju, choć meble wskazują bardziej na biuro, albo składzik niepotrzebnych rzeczy. Porozrzucane zabawki, które prawdopodobnie należą do dziecka. Kobieta myje zęby, bierze butelkę, chyba z mlekiem i wychodzi, później jest tylko gorzej. Kobieta wchodzi do pomieszczenia jeszcze kilka razy, za każdym razem trochę inaczej ubrana i pije kawę albo wysypuje rzeczy z torebki, a później je zbiera, raz na podłodze, raz na stole, ewentualnie sprząta zabawki. Mówi o sobie, ale nie wiem - po co i do kogo.

Mówi coś o Grzegorzu, właściwie wykrzykuje, żeby nakarmił dziecko, żeby posprzątał, później mówi, chyba do siebie, że musi być miłą dla sąsiadki. Okazuje się, że w sumie ma troje dzieci, w tym jedno jest niemowlęciem, które chyba karmi piersią. Ma dom, ogród, musi płacić rachunki, chyba chodzić do pracy, ładnie wyglądać, zamartwiać się o dzieci. W międzyczasie, by oddzielić jedną sekwencję od drugiej, słychać, puszczonej z odtwarzacza głos męski, mówiący o matkach i ich powinnościach. W jednej sekwencji, by pokazać, że historia osadzona jest współcześnie, kobieta wchodzi do pokoju z zakupami w maseczce zasłaniającej nos i usta. Przez trzydzieści cztery minuty czekałam na puentę tych nieskładnych wejść i wyjść, mówienia do siebie bohaterki. Kobieta złości się, że każą jej być miłą i ładną, a ona nie ma siły, wszędzie się spóźnia, lubi kawę, martwi się o dzieci, musi płacić rachunki, sprzątać. Grzegorz nie pomaga, ale musi być dla niego miłą. Puenty brak. Koniec spektaklu.

Spektakl stał się literówką, miało być bombshells, wyszło bomshells. Miały być różne kolory macierzyństwa, miało być dramatycznie, ironicznie, a wyszło blade, bez kolorów, emocji.

Nie wiem, po co aktorka wyszła na scenę, nie wiem, do kogo mówiła, nie wiem, jakie ma rozterki. Wszystko wydaje się naprędce sklezione, bez pomysłu.

Mimo niesprzyjających warunków na scenie udało mi się dostrzec, że pani Katarzyna Linke jest dobrą aktorką. Starła się, jak mogła, by tę zbitkę posklejanych przypadkowo zdań ze sztuki Joanny Murray-Smith ożywić, nadać im sens.

Może pan Marek Ślosarski - reżyser spektaklu, powinien jeszcze raz usiąść do tego tekstu i okroić go do jednej, ale dobrze przygotowanej sekwencji? W oryginalnym tekście występuje sześć kobiet, sześć historii. Jest to bardzo zgrabnie, dowcipnie i autoironicznie napisany tekst o nich. Skupienie się na jednej opowieści, jednej kobiecie uporządkowałoby ten bałagan sceniczny, psychologię postaci. Ważne jest też, komu bohaterka opowiada swoją historię i gdzie się znajduje. Czy mówi do siebie? Może do ściany? Gdzie są dzieci? Choćby jakiś ich płacz, śmiech, cokolwiek.

Niech trzyma dziecko na ręku, choćby symbolicznie i wykonuje wszystkie czynności, o których mówi? Niech ruch sceniczny pomoże papierowym emocjom ożyć. Bez doprecyzowania drobiazgów historia jest generalnie udawana, na niby. Jako matka i widz w żaden sposób nie utożsamiam się z bohaterką. Zmęczyłam się słuchając takiej ilości wypowiedzianych zdań, które są bezużyteczne, nadal niczego nie wiem o tej kobiecie. Jako aktorka czuję, że pani Katarzyna sztucznie "nakręca" swoje emocje, które brane są znikąd. Krzyczy - to pewnie jest zdenerwowana, mówi cicho - to pewnie jest smutna, ale co spowodowało te emocje? Nie wiem. Patrząc okiem reżysera, historia musi mieć logiczną całość, porządek w zdarzeniach i emocjach, musi być osadzona w konkretnym miejscu, aktorka musi wiedzieć, po co na scenę wychodzi, a reżyser musi wiedzieć, po co zaprasza publiczność do teatru.

Agnieszka Kowalczyk

Ocena: 2/5



[kliknij, by obejrzeć spektakl](#)

Szczęśliwie udany Nieszczęśnik Paprotny

Po obejrzeniu nagrania spektaklu „Nieszczęśnik Paprotny” grupy PaniKA zainspirowanego legendą o kwiecie paproci, moim pierwszym skojarzeniem był film Gaspara Noe "Climax" ze względu na psychodeliczny klimat, piękne użycie światła, spójność kolorystyczna, wszystko to w cudownej oprawie muzycznej. Prawdziwa uczta dla oczu i uszu.

Teatr, który posługuje się przede wszystkim gestem, szukając interesujących narzędzi, by pozawerbalnie wyrazić w sposób klarowny to, na co pozwalają słowa, jest bez wątpienia wymagający i dla twórców i dla odbiorców. Osobiście uważam, że nie jest to teatr dla każdego.

Doceniam twórców za wysiłek włożony w montaż nagrania. Myślę, że wpływa pozytywnie na odbiór sztuki.

Historia, za którą zabrali się twórcy z grupy PaniKA, to uniwersalna opowiadka o ludzkich pragnieniach i potrzebie ich realizacji, ubrana w metaforę o rzadkim kwiecie paproci, który zapewnia szczęście jego znalazcy. Jednak kwiat ten zakwita tylko raz w roku, a wyprawa po niego nie należy do najłatwiejszych.

Twórcy w bardzo plastyczny sposób opowiadają swoją wersję legendy. Wykorzystano szereg mądrych i interesujących rozwiązań scenicznych - teatr cienia, sekwencje taneczne, światła klubowe, kostiumy.

Aktorzy na moje oko, to bardzo młodzi ludzie, tym bardziej doceniam temat, za który się zabrali, albowiem mówią o kondycji współczesnego świata, którego galopujący konsumpcjonizm, zmusza nas do brania udziału w wyścigu szczurów. Prowokuje pojawianie się nowych pragnień i marzeń nie do zrealizowania. Żyjemy w głodzie, który rzadko udaje się zaspokoić. Zaślepieni swoimi żądzami, nie zauważamy naszych potrzeb. A to paskudna sprawa. Zmęczenie światem i sobą samym daje się we znaki. Łatwo zgubić się w gąszczu zachcianek, łatwo dać się uwieść pokusom. Tak właśnie gubi się i daje zwieść główna bohaterka, która zapuszcza się w las.

Nie chcę spoilerować spektaklu, polecam obejrzeć.

Aktorsko jest pewnie jeszcze wiele do nauki, jednak aktorzy są młodzi i z potencjałem, wierzę, że przy odpowiednim pokierowaniu i dużej pracy wyrosną na znakomitych artystów, a opiekunów mają zdaje się - świetnych. Wyjątkowo chciałbym pochwalić aktorkę wcielającą się w postać Janki - Karoline Mosińską. Kupuje absolutnie każdy jej gest na scenie.

Podsumowując, jest to znakomite widowisko. Liczę, że jeszcze pojawicie się na Łópcie :)

Pola Lepakhina

Ocena 4/5



[kliknij, by obejrzeć spektakl](#)

Morderstwo w Spotify Intercity

Wystawienie na scenie kryminału jest przedsięwzięciem trudnym. Osobiście nie znam zbyt wielu przedstawień wykorzystujących formułę powieści kryminalnej – oprócz rzecz jasna tych legendarnych z Teatru Sensacji „Kobra”. Tym razem ta literatura skusiła zespół Studia Aktorskiego STA z Poznania, który sięgnął po ikoniczną pozycję Agathy Christie „Morderstwo w Orient Expressie”.

Zadanie, jakie postawili sobie twórcy, było śmiałe i ambitne – to powiedzmy sobie na początku. Dzieło Brytyjki uchodzi przecież za klasykę gatunku powieści detektywistycznej i doczekało się niezliczonych ekranizacji. Nawet ci, którzy nigdy nie czytali oryginału, dobrze kojarzą fabułę i rozwiązanie zagadki. Wierzę, że na to liczyli twórcy spektaklu, ponieważ za zdarzeniami podanymi w tej formie podążać nie sposób. Brakuje jakiegokolwiek dramaturgii, brakuje konfliktu (nawet ten najciekawszy, wewnętrzny konflikt Poirot'a z końcówki historii został ledwo zaznaczony – choć, muszę przyznać, ciekawie spuentowany), brakuje dialogu (ten utonął w formie i muzycznej oprawie).

Czego za to nie brakuje? Na pewno muzyki. Towarzyszy ona widzowi przez cały czas – jakby ktoś z obsługi technicznej zapomniał wyłączyć playlistę na Spotify. Jest komentarzem w zasadzie do wszystkiego, a w szczególności (nad czym ubolewam) do stanu postaci. Podkład muzyczny - niczym w tureckim serialu - wyjaśnia emocje. Wielka szkoda. O ile przyjemniej byłoby wsłuchać się w słowa, w dialog (i jego osobny rytm) i przyjrzeć się konfrontacji bohaterów. A skoro już mamy tyle muzyki, to nie zabrakło też tańca i ciekawych układów choreograficznych. Nie jestem w stanie powiedzieć, co dodają do historii, staram się je rozumieć jako wskazówkę do rozwiązywania zagadki: wspólną tajemnicę, wspólnotę zbrodni.

Co do aktorów – przez zaproponowaną formę dostajemy festiwal osobnych scen, festiwal monodramów, gdzie bohaterowie po kolei wychodzą na proscenium, by odegrać swoje partie. W istocie jedyną osobą, która spaja, to w całość jest Poirot prowadzący dochodzenie. W rytmie dialogowania do każdej z postaci, z którą rozmawia, podchodzi tak samo. Trudno też zbudować konflikty czy napięcie, gdy w tle nieustannie gra muzyka, a bohaterowie (przez obranie silnej formy) są odcięci od dialogu. Na kartach kryminału spotykamy wiele stereotypów, owszem, ale przyjemnie byłoby coś w obrębie tego „połamać”.

Zastanawia też kwestia tytułu: „Morderstwo w Express Intercity” - ta odnosząca się do Polski referencja w niczym innym poza nazwą spektaklu się nie objawia. Pusty żart. Podobnie jak ten, gdy jedna z postaci mówi: „nie za dobrze mówię po polsku”. Trudno mi też zrozumieć, czemu niektóre fragmenty są uwspółcześnione (choćby przez dobór repertuaru muzycznego), a inne stylizowane na epokę (zwracanie się do siebie per „panie Hrabio”). Lepiej byłoby się zdecydować na którąś z dróg i eksplorować w ramach obranego kursu.

W spektaklu zastosowano parę ciekawych rozwiązań, ale przez pewną niedbałość, momentami przez pójście na łatwiznę, a momentami przez tautologiczność działań, przepadły one, nie zostały odpowiednio wyeksponowane lub nie wybrzmiały tak, jak mogły. O niektóre aspekty zadbano bardzo (choreografia, ruch sceniczny, forma), niektóre rzeczy przekombinowano (muzyka, tytuł), a o innych zapomniano (dialog, napięcie, konflikt).

Nikodem Księżak

Ocena 2/5



kliknij, by obejrzeć spektakl